



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

SCHRONIENIE DLA NAUCZYCIELEK.

Ważność wychowania macierzyńskiego pod względem społecznym i obywatelskim jest tak ogólnie uznana, że dowodzić jej nie potrzeba. Ale tuż obok matki stoi jej pomocnica i wyręczytelka, wielkiego w wychowaniu domowym znaczenia: nauczycielka, której matka część pracy swej zwierza, która kształcącej się umysłowości dziecka daje kierunek pierwszy i zarazem dzieło wpływów moralnych, przez matkę rozpoczęte, prowadzi dalej, współpracując z nią tym sposobem po połowie. Matka przynosi tu ze sobą miłość, uczucie tak silne, że przecież jest ono najtrwalszem, najwierniejszem z przywiązań ludzkich; nauczycielkę podierać musi jedynie uczucie przyjętego obowiązku i pojęcie jego wielkiej doniosłości. Dla tego też zawód jej, który jest bardzo pracowitym i bardzo trudnym, liczy się do najmoźolniejszych zajęć na świecie; że przecież jest w rozwoju społecznym bardzo ważny, że oddać może krajowi usługi wielkie, jeżeli jest wykonywany sumiennie i z odpowiednim zasobem wiedzy, należy do zaszczytnych i każda dobra nauczycielka ma prawo do szacunku ogółu—ma zarazem prawo do tego, aby powszechność zatroskała się dla jej podeszłego wieku o *chleb dobrze zastużonych*. Niema dziś w ustroju społecznym do rozdawania na ten cel dóbr starościńskich, ale grosz ofiarności ogólnej być powinien, i należy to do braków wielkich w publicznej moralności naszej, że go dotąd nie było. *Bluszc*, od początku istnienia swego, zaznaczył ten niedobór, podał tendencyjnie cały szereg obrazów, przedstawiających instytucje i stowarzyszenia, które spracowanym nauczycielkom zapewniają spokojną starość: w Anglii, Ameryce, Niem-

zech, Austrii, Szwajcaryi i krajach Skandynawskich, upominając się o coś podobnego u nas, przypominając, że na zbiorowym naszym sumieniu ciąży grzech niespłaconego długu tym, które wspomagając wychowanie macierzyńskie w zakresie bardzo znacznym, wykształcenie naukowe i wyrobienie intelligencji kobiety prowadzą całkowicie, najmniej w trzech czwartych częściach. Wprawdzie myślano o tem u nas, dla ogółu nauczycielskiego stanu jeszcze za czasów Pijarskich. Linde, Zubelewicz odzywali się z tem w drukowanym słowie, ale tak trudno było rzeczy przyjść do skutku, jak potem trudno było przeprowadzić myśl, mającą na celu wyłącznie los kobiet-nauczycielek.

Brak odpowiedniego stowarzyszenia nauczycielskiego: tych składek rocznych w latach młodości i pracy, któreby utworzyły fundusz na dochód emerytalny dla zmęczonej starości—to była boleśna ze strony społeczeństwa naszego nieradność, która tembardziej czyniła potrzebem jakies schronienie dla starości samotnej i ubogiej, przez zawód całego życia tak od związków rodzinnych oderwanej, że ich zwykle prawie nie posiada. Cierpienia rosły i mnożyły się; odczuwano to, odzywano się z tem, aż wreszcie inicjatywa czynna wyszła z pośród nauczycielek samych. Panna Agnieszka Helwichówna zebrane z pracy swojej mienie całe, 500 rs., postanowiła na ten cel poświęcić i w 18:9 r. zwróciła się o pomoc i poparcie, do zaszczytnie znanego w mieście naszym kapłana, księdza Zygmunta Chełmickiego. Oddawała, co mogła, licząc, że znajdą się inne, tak jak ona oszczędne i zabiegliwe, które grosz swój do składki przyniosą, że wreszcie ogół poczuje się do obowiązku dobroczynnego współdziałania i to był pierwszy zawiązek domu *Schronienia dla nauczycielek* w którego historii obok szlachetnej i rozumnej ofiary p: Agnieszki Helwichównie, obecnie przełożonej *Schronienia*, występuje przecież poświęcona działalność i energia ks: Chełmickiego,

który poddanej sobie myśli już nie porzucił, przejął się nią i w życie ją wprowadził, wzruszając serca ludzkie, ściągając fundusze potrzebne, a które składano spokojnie w te ręce czyste i zacne, o których wiedziano, że nie marnie nie roztrwonią, nie od celu nie odwrócą. P: Tekla Rapacka, której grosz jest wszędzie tam, gdzie go czyn dobry potrzebuje, dało 4000 rs: p: Emilia Blochowa 1000 rs.; kilka bogatych osób zobowiązało się składać przez lat dziesięć po 150 rs: rocznie, i przygotował się w ten sposób grunt pod budowę dzieła chrześcijańskiego miłosierdzia i ludzkiej sprawiedliwości, na którym obecnie, po zatwierdzeniu rzeczy przez władzę, wniosła się instytucja publiczna, mająca przed sobą przyszłość coraz szerszego rozwoju.

Schronienie zostało otwartem tymczasowo już w dniu 17 Listopada 1880 roku przy ulicy Żórawiej, pod Nr. 3. Skoro tylko zebrano kilku tysięcy rs., natychmiast ksiądz Chełmicki z ewangeliczną wiarą w łaskę Bożą, która będzie zawsze przez serca dobrych ludzi powtarzać cud mnożącego się wobec łaknących chleba, najął pomieszkanie, opatrzył je w potrzeby konieczne, przy których to zabiegach dopomagała czynnie Senatorowa Małkowska i *Schronienie* mogło już przyjąć pewną liczbę potrzebujących opieki, podeszłych, lub zmęczonych pracą nauczycielek, i zarazem te nauczycielki, które chwilowo roboty pozbawione, poszukiwały takowej, placąc za pomieszkanie i utrzymanie w zakładzie, który im dawał lepsze, spokojniejsze, tańsze pomieszczenie, niż to na mieście u osób prywatnych, lub w hotelu być mogło. Od Listopada 1880 znalazło pomieszczenie dobroczynne w domu *Schronienia* 34 stale i czasowo przebywających osób, z których trzy umarły, pięć znalazłszy sobie zajęcie usunęło się. Obecnie zakład liczy 12 pensyonek stałych, z których dwie za siebie placą. Czasowo przebywających jest cztery.

Zakład zostaje pod nadzorem i zarazem opieką

Warszawskiej Rady Miejskiej Dobroczynności Publicznej. Sprawami jego zajmuje się ogólne zebranie członków i dobroczyńców, oraz rada opiekunów, złożona z 18-tu, a którą obecnie składają: hr: Róża Krasińska, Emilia Bloch, Gabriela Wrotnowska, hr: Marya Stadnicka, Teresa Brzezińska, Eleonora Kurhanowicz, Karolina Bromirska, Róża Janasz, Agnieszka Hellwich, Aleksandra Borkowska, Feliksa Egier, Anna Leska, Kamilla Jazwińska, Stanisława Święcka, Julia Baranowska, Marya Kleniewska i Marya Szlenkier. Wrazie usunięcia się którego z członków Rady Opiekunów pozostali członkowie wybierają nowego członka z liczby dobroczyńców zakładu. Rada Opiekunów wybrana jest na lat 3 i wybiera pomiędzy sobą prezydującą i wice-prezydującą, oraz pomiędzy wszystkich wogóle dobroczyńców zakładu Zarząd domu Schronienia, mający się zawsze składać z przełożonej, dwóch opiekunów, dyrektora, kasyera i doktora.

Dwa razy do roku, w Kwietniu i Październiku, zbiera się pod przewodnictwem prezydującej w Radzie ogólne posiedzenie członków Schronienia: w Kwietniu, dla wysłuchania sprawozdań z działalności zakładu w roku ubiegłym; w Październiku dla rozpatrzenia i potwierdzenia budżetu na rok przyszły. Prócz tego, na zgromadzeniach takich przedstawiają się wnioski co do zmian w ustawie, lub w celu uzupełnienia takowej. Po upływie lat trzech następują wybory do Rady Opiekunów, do której mogą przecież być wybrani ponownie ci sami członkowie.

Posiedzenia Rady Opiekunów odbywają się co trzy miesiące, Zarządu co miesiąc. Wrazie potrzeby zwołują się posiedzenia nadzwyczajne. Aby uchwały posiedzeń tak Rady Opiekunów, jak i Zarządu były ważne, potrzebna jest obecność połowy członków. Na walnych zebraniach dostateczna jest jedna czwarta wszystkich członków. Wrazie, gdyby liczba potrzebna nie zebrała się, posiedzenie odracza się i zwołuje powtórnie. Ze wszystkich posiedzeń spisuje się protokół; sprawy tak Rady Opiekunów, jak zarządu, rozstrzygają się większością głosów; w razie równego podzielenia zdań, rozstrzyga prezydująca.

Obowiązkiem Rady Opiekunów jest rozdzielać zajęcia między członków Rady i Zarządu. Z władzami rządowymi znosi się prezydująca, w razie jej nieobecności wiceprezydująca.

Zarząd ma nadzór nad domem Schronienia, jego wewnętrznym gospodarstwem, a także rozpatruje i rozsądza prośby o przyjęcie do zakładu, ustanawia wysokość zapłaty dla osób, chcących się pomieścić w zakładzie stale lub chwilowo, lub od takowej uwalnia. Przedstawia Radzie Opiekunów sprawozdanie z działalności Zakładu, rachunki z wydatków i cyfry dochodu. Zarząd prowadzi korespondencję w interessach Schronienia, oraz zarządza jego majątkiem. Schronienie posiada własną swą pieczęć.

Za założycielki lub założycieli Schronienia uważa się tych członków, którzy wniosą na rzecz zakładu jednorazowo najmniej 3,000 rs., lub też zobowiążą się do składek rocznej 150 rs. przez lat 10. Członkowie rzeczywiście uiszczają roczne składek 10 rs., członkowie ofiarodawcy 5 rs. Członkowie, którzy nie wniosą opłaty rocznej w pierwszej połowie roku, uważani są za odpadłych. Dochody Schronienia stanowią: procent od summy 4.000 rs. ofiarowanej przez Teklę Rapacką, procenta od sum wniesionych jednorazowo przez dobroczyńców zakładu; roczne opłaty członków, ofiary składane przez osoby prywatne, w pieniądzu, przedmiotach i żywności; darowizny i zapisy testamentowe, dochody z widowisk i koncertów na rzecz Schronienia.

Osoby pragnące korzystać z dobrodziejstw Schronienia: nauczycielki, przez wiek, chorobę lub kalectwo pozbawione możliwości pracy, oraz nauczycielki chwilowo miejsca niemające i poszukujące takowego, powinny się zwrócić do jednej z pań Zarządu z prośbą o pomieszczenie, dołączając świadectwa: 1) zajmowania się pracą nauczycielską; 2) świadectwo lekarza, że zgłaszająca się, nie ulega chorobom zaraźliwym, idyotyzmowi, epilepsji i chorobom skórny; 3) atest ubóstwa, podpisany przez dwie wiarogodne osoby, jeżeli prosiąca pragnie być przyjętą do Schronienia bezpłatnie.

Pani przyjmująca prośbę powinna dowody przejrzeć i, sprawdziwszy stan zamożności prosiącej, przedstawić jej żądanie Zarządowi, który ostatecznie wyrokuje o przyjęciu do Schronienia, przytem oznacza wysokość opłaty, stosownie do żądania i środków prosiącej, albo zwalnia ją z niej zupełnie, nakoniec, w razie okoliczności przemawiających nieprzychylnie, przyjęcia w Schronieniu odmawia.

Przyjęta do Schronienia pensyonarka dostaje pomieszczenie, stół, bieliznę i inne dogodności; ubranie otrzymują tylko już najbiedniejsze, za uznaniem Zarządu. Pomoc lekarską mają pensyonarki zakładu na miejscu, przeciw wrażliwości choroby dłuższej, kosztem Schronienia zostają oddane do jednego ze szpitali warszawskich.

Osoba niechęca korzystać z pomieszczenia w Schronieniu może się w każdym czasie wydaląc, ale też może zostać wydalona na mocy postanowienia Zarządu.

Pokój osobny otrzymać może tylko osoba płacąca za siebie; inaczej pomieszczoneą zostaje wspólnie z innymi pensyonarkami; że przecież cały lokal Zakładu jest bardzo czysto utrzymany, stosownie obszerny, pomieszczenie w nim nigdy przykrom być nie może. Salonów wspólnych jest dwa, biblioteka została utworzona ze składek, obecnie urządziła się apteczka domowa, a Dr Tomaszewicz udziela porady lekarskiej. Zakład posiada łazienkę na miejscu, wkrótce będzie mieć i kaplicę, a przynajmniej świeżo kilku pokoi, pomieszczenie w nim rozszerza. Rada Opiekunów pragnie przytem, aby, na wzór zagranicznych tego rodzaju zakładów, istniał przy Schronieniu kantor pośredniczący między publicznością a szukającymi miejsca nauczycielkami, co byłoby wielkim dobrodziejstwem dla stron obu. Utworzenie przy Schronieniu stowarzyszenia emerytalnego nauczycielek, należące także do zamiarów Rady Opiekunów, zaliczyć trzeba również do rzędu wysokiego dobrodziejstwa. Praca lat młodych i wieku dojrzałego mogłaby wtedy jedynie zapewnić nauczycielkom starość spokojną i z tego już względu szczęśliwą, że byłaby utrzymywana z owoców tej pracy własnej. Chleb miłosierdzia jest zawsze gorzki, zawsze twardym do przełknięcia i ułatwić osobom ucześciwie pracującym przez całe życie, aby mogły zachować do grobu taką dumę dostojną, jest też uczynkiem dobrym, który w oczach Boga i ludzi, skarbi sobie zasługę dobroczynności najszlachetniej pojętej.

Maryja Ilnicka.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Tam, gdzie wola jednego człowieka panuje wszystkim, gdzie nikt nie śmie mieć własnej—gdzie runie ta cegielka, utrzymująca sklepienie—wali się ono i sypie gruzami. Tak w Białej, po śmierci chorążego, wszystko się rozprzęgło w jednej chwili. Każdy korzystał z tego bezkrólewia krótkiego, po którym wiedzano, a raczej domyślano się i przeczuwano, że rządy księcia hetmana „Rybenko“ nastąpić miały.

Wojewoda Czarniechowski pierwszy wziął na stronę biskupa, błagając go o wiadomość: czy testament, który jemu i żonie przyrzekł uczynić nieboszczyk—był spisany?

— Książę pracował nad nim — odparł biskup z westchnieniem — pisałem pod dyktą jego; papieru zapisałem siłą, lecz oczekiwał na Matusewicz, który miał temu nadać formę prawną. Kon-

cepta są w biurka zamknięte, ale testamentu nie ma.

Tak tedy biedna wdowa, którą wydano za starca w nadziei zapisów, przemęczywszy się z nim lata, zostawała bez opatrzania, bez przyszłości.

Zawieprzycki pan westchnął smutnie.

Wiadomość o niebytności testamentu rozeszła się natychmiast — nadziei zawiedzionych było wiele.

Pomniejszy ludź ratował się tem, że sam pamiętał o sobie, i gdy dzwony u Fary, Reformatów i Bazyliańców były nieustannie, budząc więcej przestrochu niż żalu, officialiści książęcy krzatali się, aby nowy rząd zastał wszystko skończone. Wychożli z zamku wozy, biegali ludzie, opróżniano komory. Może, gdyby był Wolski na miejscu pozostał, ład jakiś utrzymałby się między służbą; innych nie nawykli byli słuchać ludzie, a zresztą każdy myślał o sobie.

Wątróbka, który wiedział jak się dostać do mieszkania swojego pana i opiekuna, otworzył Wolskiego izbę, dobył z niej garnuszek, o którym wiedział, uwinął go w starą oponkę, i choć był trochę ciężki, wyniósł do stajni. Tu znalazł parę koni do Łowczego należących, wózek całę niezły, rzucił w nogi garnuszek, siadł bez kilimka na sianie i, konie zaciągwszy, z zamku wyjechał.

Za bramą, zdjął czapkę wesolo, pokłonił się murrom, rozśmieił się i zawołał: — A no! w świat! bywajcie zdrowi!

I tyle go widziano.

Szurska, która po miodzie wypitym wieczorem, spała mocno, zbudziła się dopiero, gdy naraz we wszystkie dzwony uderzono. Zerwała się z poscieli, chcąc łajać dziewczynę, bo od tego zwykle każdy dzień rozpoczynała, lecz, zobaczywszy ją płaczącą, nie wiedziała co się stać mogło, a strach ją ogarnął.

— Czego becysz, głupia? — zawołała.

Dziewczę nie wiedziało wistocie, dlaczego płakała, bo ją śmierć ta nie obchodziła wcale, ale ją każdy nieboszczyk trwożył.

— Pan umarł! — odparła, szlochając.

— Książę? I Szurska ręce nad głową załamała. Wysunęła się z łóżka i, zapomniawszy o dziewczynie, zaczęła biegać po kątach. I ona chciała ocalić to, co zbierała całe życie.

Nowy pan, nowy rząd, nowi ludzie — trzeba się było mieć na ostrożności.

Wypędziła swą służkę, zamknęła drzwi i w jednym tułubku, na koszule narzuconym, wpadła na wskich do Zaborskich.

Tu drzwi stały otworem.

Zaborska lamentowała, chodząc po pokojach. Obawiała się, aby wiadomość o tem, że książę u niej zachorował i z ich przyczyny, nie wywołała jakiej zemsty. Oprócz tego, wszystkie nadzieje, jakie pokładała na starym panu, było stracone.

Faustyna chciała natychmiast ztąd do miasteczka się wynosić; matka, niemogąc z sobą zabrać kosztownych ruchomości, które prawie cały jej majątek stanowiły, upierała się pozostać na zamku. Traciła głowę.

Z suchemi oczyma, ze ściśniętymi ustami, ubrana jaknajniepozorniej i prawie ubogo, ale tak, aby wyjść ztąd mogła każdej chwili, Faustyna czekała tylko na matkę, przypominając jej, że później mogła być na srom narażone, bo je ktoś ztąd wyгнаć może.

Zaborska spoglądała na swe szafki, komódki, kantorki i bogaty sprzęt, przy którego zabraniu właśnie się upierała, niemogąc z nim się rozstać.

— Niech wszystko przepada, idźmy ztąd jak stojemy! — powtarzało dziewczę. Nie chcę nic; bogdajby w jednej koszuli, byle prędzej wyjść z tej niewoli.

Szurska, która już po drodze dowiedziała się, że Wolski zniknął z parą koni, dobiegła zdyszana na górę.

— Jezus Maryja! — zawołała — co się to dzieje? Wicie, że książę umarł!

Zaborska rzuciła się do niej z narzekaniem.

— Jak nie wiemy! — ale się wstrzymała z opowiadaniem: — Co tu robisz?

— Radźcie, na miłość Bożą! co zrobić?

— Nam nie zostało nic, strwożona i zmieszana — odparła staruszka, tylko się wynosić! Tu, kto wie teraz, jakie rządy nastaną.

— Księżna! to ona nas wypędził! — wołała Zaborska.

— Gdzie, jaka księżna? — odparła Szurska. — Jej może dziś nie będzie komu jeść zgotować! Co ona tu znaczy! Przyjdzie „Rybenko“ i wszystko zagarnie, a nas, jak śmiecie, precz wymiotą.

Poruszyła się starowina. — Ja wolę sama się wynieść! nie będę czekała!

Z drugiej izby wybiegła Faustyna, z wypalonymi na twarzy rumieńcami.

— Widzicie, matko! Ona mówi to, co ja! Na co my czekać będziemy? Idźmy ztąd same precz! Ludzie na nas powiedzą, żeśmy dosyć nabraly u księcia, oszkalują nas, wstydem nakarmią. Matko! na miłość Bożką — idźmy do miasta, znajdziemy dworek, izbę, szopę.

Zaborska, która miała nadzieję coś utargować jeszcze, a przynajmniej sprzęty ocalić, odwróciła się do córki z tem, co się jej najsiłniejszym zdawało, aby odeprzeć jej przynaglaniu.

— Chcesz iść ztąd, a tego nieszczęśliwego tu w lochu zostawić! — zawołała. Przecie i o nim pamiętać potrzeba. Jak my tu będziemy, to choć za nim przemówimy i postaramy się.

— Ale oni go muszą wypuścić! przecież Wolskiego panowanie się skończyło! — zawołała Faustysia.

Szurska poruszyła ramionami.

— Myślicie? — odezwała się. — O! ten wąż wśliźnie się wszędzie! Już go niema tu, poleciał! Powróci z hetmanem i będzie mu służył, a ten się też bez niego nie obejdzie.

Wszystkie kobiety zaczęły rozpaczliwie ręce łamać i jęczeć.

Nieporadność ich — przestрах, niepewność co poczynać — panowały zresztą wszędzie. Tak samo pan Wojewoda Czerniechowski nie wiedział sam, czy przy córce zostać, czy do Nieswieża jechać, czy do Zawieprzyc powracać.

Officyaliści, co kosztowniejszego mieli, lub mogącego ulegać wątpliwości, czyją było własnością, wysyłali do przyjaciół na miasto. Wytaczano bryczki, wyprowadzano konie, wynoszono kufry i tłumoki. Każdy myślał o sobie, i w samej istocie, gdyby nie litościwych kilka kobiet przy księżnie, które o niej pamiętały, nie miałyby była co jeść dnia tego, bo w kuchni równy bezzład, jak wszędzie, panował.

Zaborskie z Szurską oplakiwały położenie swoje, gdy wpadł, już teraz niepotrzebujący się z sobą ukrywać, Marcyan.

Faustyna, zobaczywszy go, pośpieszyła ku niemu.

— Niech wam Bóg płaci, żeście o nas nie zapomnieli — krzyknęła — ja muszę ztąd iść precz, ja tu godziny dłużej nie wybudę. Znajdźcie nam jaki dworek w mieście. Zlituj się!

Zaborska też przyskoczyła do niego.

— Moje sprzęty! moje ruchomości! zmiłujcie się! Tyle mego, co tych rupiec zostało! Kaźcie je wynosić.

Butrym starał się je uspokoić.

— Niema się tak dalece czego obawiać — rzekł. Wolski uciekł!

Szurska go za rękaw pociągnęła.

— O, toś mi dobry — rozśmiała się wzgardliwie — uciekł? Przecie on za żywota księcia hetmanowi służył, listy do niego pisał i posyłał. Nie uciekł — ale pojechał po zapłatę i powróci z mocą nową.

Marcyń umilkł. Najprzystomniejsza, Faustyna za rękę go ujęła.

— Chodźmy na miasto, komory szukać — odezwała się — idźmy ztąd! Ja tu już nie wrócę.

Chciała się Zaborska sprzeciwić, ale Butrym ją uspokoił.

— Juści komornego szukać trzeba, a potem jejmość wywieziesz, co masz, jeżeli nie zabronią. Teraz pierwsza rzecz, ja do Koliby iść muszę o brata; niech z głodu nie mrze. Nadzieja w Bogu,

choćby nawet ten zbój powrócił, ja hetmanowi do nóg padnę i niewinnego wyzwolę. Nic on przecie Radziwiłom nie zrobił.

— Idź do Koliby — rękę jego puszczał — odezwała się Faustyna, ale powracaj po mnie. Uprowadź mnie ztąd! zlituj się!

Marcyń wprost pod bramę pobiegł, do izby klucznika.

Zastał go odzianego i leżącego na ławie twardej, w pół uśpionego.

Usłyszawszy chód, stróż podniósł się zwolna.

Butrym wchodził śmiało, śmieiej niż kiedykolwiek kto, do tej izby stróża.

— Słuchaj, Koliba — odezwał się — ja do ciebie przyszedłem o brata.

Niesłuchając nawet, stróż potrząsnął głową przeczącą i pokazał na drzwi.

— Nikt nie wejdzie — rzekł — nikomu kluczów nie dam, aż taki przyjedzie, co tu rozkazywać ma prawo. Nie — nie!

Popatrzył nań Butrym i dobył parę talarów, ale tymczasem klucznik rękę odepchnął.

— Kluczy i więźniów nie dam, chyba nowemu panu!

Chciał się stary w ten sposób przypodobać i usłużyć — i on też strzegł własnej skóry, a ta wierność nieubłagana wydawała mu się najlepszym środkiem pozyskania sobie następcy.

Nie wyobrażał on go sobie innym, tylko takim jak był chorąży, to jest, niemogącym się obejść bez więzienia i stróżów. Kolobie chodziło o to, aby go z tej podziemnej izby, do której przyrosł latami wielu, nie wypędzono.

Był więc nieublagany i talary nawet nie czyniły na nim wrażenia.

— Ja — cię nie kuszę — zawołał Butrym, abyś ty mi samowolnie brata wypuścił: dostanę go bez twojej łaski — tylko mi go nie móż głodem.

Wsunął mrującemu w rękę talary i Koliba się już nie opierał.

— Przeprowadź go do innego lochu! — szepnął. Na to klucznik wątpliwem potrząśnięciem głowy odparł tylko.

Butrym powrócił do Faustyny, która nie w mieszkaniu już, ale sama jedna czekała na niego, u dołu przy drzwiach, chustką okryta.

Pilno jej ztąd uwolnić się było, tak pilno, że, nie mówiąc słowa, pochwyliła go za rękę i szła, przyspieszając kroku, ciągnąc go za sobą, aż póki nie wyszli za bramę.

Tu stanęła, łzami oczy miała zalane; patrzyła na szerniałe mury wieży, przy której się zatrzymała.

— Przeklęte gniazdo sepie! — zawołała — bogdaj by się rozpadło w gruzy i kamień na kamieniu nie pozostał z ciebie. Niech cię te lzy zjedzą, które tu wyleli ludzie.

Szli do miasteczka; Butrym ledwie mógł za nią nadążyć.

Znał on tak dobrze Białą, iż mu nie trudno było dworek znaleźć, w którym Zaborskie, nawet z tym sprzętem, o który stara dbała tak bardzo, pomieścić się mogły.

Był to domek nowy, zaledwie skończony, którego właściciel nie miał jeszcze czasu wynająć. Połowa jego była zawsze przeznaczoną dla jednej z tych gospodyń, które tu studentów utrzymywały. Było mu wszystko jedno, komukolwiek ją ustąpi. Stały dwie izby z alkierzem tak puste, że w nich tylko wióry stolarskie leżały na podłodze.

Faustysia zgodziła się, na co chciał gospodarz, i siadła na ziemi, spierając się o ścianę i dopiero teraz oddychając swobodnie.

Powietrze to, wonią świeżego sosnowego drzewa, z którego dworek był wystawiony, przesycone, innem, lepszem, do oddychania zdrowszem się jej wydało. Nagie ściany i to ubóstwo radowały ją, bo znały — swobodę. I lzy się z oczów jej potoczyły, lzy uspokojenia, wytechnienia — nowego życia.

Na zamku tymczasem trwał ten bezzład i płoch, jaki tu śmierć chorążego przyniosła; cho-

ciaż marszałek dworu i kilku starszych officyalistów ostro się wzięli do pohamowania nieładu i rozprzężenia. Przyczynił się do tego i ksiądz biskup Ptolemaid, którego, jako duchownego, słuchać wszyscy musieli, bo od tej zwierzchności nikt nigdy się nie wyzwał. Wezwany przez marszałka, przybył on, surowymi słowy karcąc zwolanych officyalistów.

Urządowe oznajmienie o zgonie wyprawiła od siebie księżna, z pokornym listem do hetmana, na którego teraz łasce lub niełasce pozostała.

Wojewoda, któremu w początku myśl dopomnienia się prawem, o wyposażenie księżny wdowie, poddawano — uznał proces z Radziwiłłami, tam gdzie trybunały wszystkie pod ich wpływem lub w ich rękach bywały — za niemożliwy.

Cisza następnych dni zapanowała za zamku osieroconym, przerywana tylko przygotowaniami pogrzebowymi, które ksiądz biskup niezwłocznie musiał przedsiębrać. Ciało przeprowadzono do kaplicy zamkowej, gdzie ciągle odbywało się nabożeństwo, dopóki-by z Nieswieża nie nadeszły rozkazy z instrukcye.

Potrzeba było, przy największym pośpiechu, dni kilku, nim-by ztamtąd mogli powrócić posłańcy.

Dłużej, niż zachowano, nie zjawiał się przecież nikt, z kąd wnoszono, że może sam hetman na pogrzeb przybyć zechce.

Jednego majowego poranka, ujrano wreszcie na gościńcu od Litwy wiodącym, pośpiesznie ku miastu zdążający tabór, dość liczny: powozy, furgony, jezdnych w barwach Radziwiłłowskich, ale, nie wyglądający tak, jakby na pogrzeb podążał. Sama młodzież to była, na koniach, choć zdrożonych, jeszcze dokazujących, z czapkami na bakier, z twarzami wesołemi, z butą okrutną i wykrzykwaniami zuchwałemi.

Zaraz przy wjeździe, gdy się gromadka dzieci i pospólstwa zbiegła, przypatrywać przybywającym, konni dla zabawy jeli ją batogami ścigać i straszyc. Śmiech się rozlegał.

W wielkiej landarze, paradnej, na axamitnych wezwłowiach, przy otwartych oknach, siedziało dwóch panów, lecz łatwo się domyślić było, iż nie księżę hetman, ani jego zwykła komitywa. Oba oni wyglądali bardzo młodo, i tak mieli twarze uśmiechnięte, jak orszak, który im towarzyszył.

Zbliżenie się do miejsca okrytego żalobą nie zdawało się im wcale psuć humoru. Młodzieniec siedzący na prawo, w którego rysach zdrowych i ożywionych, można było dostrzedz coś familijnego charakteru rodziny — był to księżę Karol, Miecznik Litewski, syn hetmana, już naówczas sławny z tego, że szalał, jak nikt, za szaleństwa swe garściami złoto sywał i niepohamowaną dumą nawet ojca przescigał.

(Dokończenie nastąpi.)

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Czerwcu 1882 r.

Proces sensacyjny. — Wyścigi. — Wycieczki towarzyskie — Stanisław Lukas. — Trudności urządzenia wystawy Sztuk Pięknych. — Popisy doroczne w zakładach wychowawczych żeńskich. — Reforma szkół. — Rozprawa emeryta profesora Tadeusza Kozłowskiego. — Wydawnictwo tanich książek dla ludu. *Co to na wsi być może?* — Stowarzyszenie handlu wiejskiego. — Wiejskie stráže pożarne. — *Zapiski ornitologiczne* Kazimierza hr. Wodziekiego: *Skowronek*. — Biblioteka „Mrówki“. — *Ostatnie lata dziejów powszechnych*, wydane przez Księgarnię Polską. Odkryta pozostałość po Mickiewiczu. — Zjazd techników polskich. — Zasklepienie Pełtwi. — Teatr.

Toczący się od dni kilku przed ławą przysięgłych proces Olgi Hrabarowej i Dobryńskiego, zajął w pierwszej chwili w wysokim stopniu całą publiczność tutejszą, tak, iż sala sądowa przepelniona bywa słuchaczami. Ponieważ jednak proces ten z powodu znacznej liczby oskarżonych i świadków, potrwa przynajmniej cztery tygodnie, przeto i ciekawość publiczności, pobudzona na razie za-

pewne zmniejszać się będzie w miarę przedłużenia się procesu, gdyż jestto już w naturze ciekawości ludzkiej, że zawsze nowego łaknie żywiołu, a z tem co jest, prędko się oswaja. Na dowód możnaby przytoczyć wyścigi na torze lwowskim. Był czas przed laty kilkunastu, że sprawy wyścigów wielce zajmowały publiczność lwowską, tak iż w dni wyścigowe połowa mieszkańców miasta, wszystkich sfer, śpieszyła tłumnie na pola za rogatkami Janowskiemi, aby być świadkiem tryumfów i klęsk końskich. Jakaż różnica od wyścigów dzisiejszych, z których, z obowiązku korespondenta właśnie wracam w tej chwili! Sport stracił u nas widocznie swą *great attraction*. Mała garstka widzów przypatrywała się dosyć obojętnie całej paradzie, inscenowanej według wszelkich prawideł sportu przez towarzystwo wyścigowe, noszące nazwę Towarzystwa *ku podniesieniu chowu koni*. Doświadczenie atoli przekonało, że wyścigi nie podniosły u nas chowu koni i że inne ku temu są drogi i środki skuteczne. Jak zapamiętamy, wyścigi tutaj się rozgrywają się zawsze pomiędzy kilku tymi samymi właścicielami koni wyścigowych, oddających się wylącznie pielegnowaniu tychże i na rozszerzenie i uszlachetnienie chowu koni w ogóle w kraju, dotąd wcale wpływu nie wywarły. Jakoż oprócz samych właścicieli i szczupłego kółka zagorzalszych miłośników, mało kogo zresztą obchodzi to czy „Finio“ czy „Fornarina“ szybsze ma nogi i lepiej się popisze na wyścigowym torze. Wyścigi byłyby u nas może już zupełnie straciły rację bytu, gdyby nie nagrody rządowe 500 i 300 dukatów w złocie, co rok dla toru lwowskiego przeznaczone, które przecie wziąć potrzeba i o które głównie walka się toczy. Dla tych-to nagród przybiją tu także obcokrajowcy z końmi wypróbowanymi na torach zagranicznych, skutkiem czego budzi się duma współzawodnicza. Podobnie i w tym roku przybył po laur i pieniądze *Wallenrod*, głośny ze swych zwycięstw zagranicą, i poniósł tutaj fatalną klęskę, pozostawszy w tyle o kilkanaście sążni. Ztąd radość w kołach sportu i bankiet w sali kasyna hotelu Żorza.

Zabaw ogrodowych i rozmaitych wycieczek towarzyskich w bliźsze i dalsze okolice Lwowa mamy obecnie podostatkiem, a wszystkie są przeznaczone na korzyść któregoś ze stowarzyszeń tutejszych jak „Sokol“, „Gwiazda“ i t. p., lub jakowegoś zakładu dobroczynnego. Przynoszą one zazwyczaj dosyć obfity dochód i żadna niedziela ni święto nie obejdzie się bez nich. Wycieczki zajęły miejsce loteryj fantowych, które już się zużyły i nie wabią publiczności, jak dawniej bywało. Czynnym bardzo w urzędowaniu takich wycieczek świątecznych jest tutejszy „Chór mężki“, który od czasu odłączenia się od Towarzystwa Muzycznego, tworząc osobne, samoistne towarzystwo, bardzo stał się zapobiegliwym i czynnym. Z dalszych wycieczek kolejami zasługują na szczególniejszą uwagę wycieczki do Stryja, do Pustomyt, gdzie odkryto silne źródło siarczane, skutkiem czego powstaje tam nowy zakład kąpielowy, który czasem spółzawodniczyć będzie z pobliskim Lubieniem. Celem wycieczek bywa także Stare Sioło, będące pierwszą stacją kolei Lwowsko-Czerńowieckiej; a z wycieczek pieszo odbywanych z muzyką, chórami i t. p. najwięcej mają uroku wycieczki do lasku Krzywoczyckiego, na Pohulanek i Kortumówkę.

Smutną też odprawiliśmy wycieczkę zeszłego tygodnia na Cmentarz Łyczakowski, odprowadziwszy na miejsce wiecznego spoczynku jednego z najzdolniejszych w młodem pokoleniu pracowników na polu nauk historycznych, Stanisława Lukasa. Urodzony w roku 1855, po ukończeniu nauk gimnazjalnych w Tarnopolu, wstąpił na uniwersytet lwowski, na wydział filozoficzno-historyczny. Obok wielkich zdolności posiadał on tę pracowitość, tę wytrwałość w pracy, jaką rzadko się spotyka, a której plonem bywają wielkie dzieła. Dzisiaj zaciera się w młodsze pokoleniu ślady nawet tej olbrzymiej pracowitości, którą podziwiamy u Lelewela, Bielowskiego, Szajnoch. Za wzorem i przykładem ich szedł s. p. Lukas, wytknąwszy sobie teżsame, co oni, cele. Oddawszy się wyłącznie zawodowi historycznemu, po ukończeniu uniwersytetu lwowskiego udał się do Paryża, uzyskawszy przed pięciu laty na ten cel stypendyum z fundu-

szów krajowych. Tam rzucił się z całym zapalem młodzieńczego, rzec można, fanatyzmu do badania archiwów i materiałów odnoszących się do wieku XVII, a mianowicie do dziejów Jana Sobieskiego i jego epoki, którą za szczególniejszy przedmiot studyów swych obrał, przedsięwzięwszy dokładne jej wyswietlenie. Tutaj formalnie zapracował się, żyjąc w odosobnieniu, jedynie wśród aktów dyplomatycznych i źródeł archiwalnych, do których przystęp uzyskał. Sposób ten życia wpłynął na zdrowie młodzieńca i wytworzył zaród choroby, która, trawiąc i niszcząc zwolna, ostatecznie nagle wybuchła i o śmierć przyprawiła. Kiedy po dłuższym czasie pobytu w Paryżu, przyjechał tam i odwiedził go jeden z tych przyjaciół i kolegów uniwersyteckich, którzy go serdecznie kochali, i ujrzał go zmienionym do niepoznania z podkopaniem zdrowiem, wszelkiej użyl namowy i prosby, aby go skłonić do wyjazdu do wód dla kilkotygodniowego wypoczynku, ale s. p. Lukas tak był zajęty pracą, tak w niej zamilowany, że w żaden sposób oderwać go od niej nie było podobna.

— Wyjechać, próżnować przez cztery lub sześć tygodni, to znaczy tyle czasu stracić z życia, a życie tak krótkie, a tak wiele jest do zrobienia, tak szerokie zadanie przede mną, — odpowiadał stale i nie chciał się leczyć, aby czasu nie tracić. We dwa lata później tenże sam kolega i przyjaciel zmarłego opowiadał mi to, idąc w orszaku pogrzebowym za jego trumną.

Materiały zgromadzone przez s. p. Lukasa w archiwach berlińskich i paryżkich świadczą o zdumiewającej pilności, z jaką, pomimo wątłego zdrowia, oddawał się on poszukiwaniom swoim. A chociaż śmierć nie dozwoliła mu uzupełnić ich i opracować, jak zamierzał, będą one dla przyszłych pracowników obfitem źródłem i pomnikiem jego zasług, pomimo młodego wieku, na niwie naukowej położonych. S. p. Lukas pozostawił wiele pomniejszych, znakomicie napisanych rozpraw historycznych, zamieszczonych w wychodzącym we Lwowie „Przewodniku naukowym i literackim“, w „Bibliotece Warszawskiej“, w „Ateneum“, w „Przeglądzie krytycznym“ a nadto w wielu czasopismach naukowych niemieckich, francuzkich i angielskich. Był członkiem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu; przed kilku miesiącami otrzymał stopień doktora filozofii na tutejszym uniwersytecie i temi dniami miał się właśnie habilitować na docenta historii powszechnej w Akademii Jagiellońskiej w Krakowie. Przed objęciem katedry zamierzał wyjechać jeszcze dla dalszych studyów zagranicę, otrzymawszy tym celem stypendyum z fundacyi im. Śniadeckich. Śmierć przedczesna zniweczyła wszystkie te zamiary i przecięła nie prac, rozpoczętych tak gorliwie, tak wiele pożytecznego rokujących plonu. Cztery wieńce złożono na trumnie; pomiędzy temi był jeden przysłany z Krakowa z napisem: „Od Historyków krakowskich“, drugi od tutejszych uniwersyteckich kolegów zmarłego, trzeci od prof. Liskiego, któregoś. p. Lukas niegdyś najcelniejszym był uczniem. Nad grobem przemówił były rektor uniwersytetu tutejszego, poseł Euzebiusz Czerkawski, a po nim jeden z kolegów uniwersyteckich, p. Józef Zimmerman, którego przemowa, pełna gorącego uczucia, tchnęła serdecznym żalem, z koleżeńskim płynącym przywiązaniem.

Nad tegoroczną wystawą tutejszą Sztuk Pięknych zawisło jakies nieprzychylnie *fatum*. Miała ona być otwartą jeszcze w Maju; następnie odroczone ją do d. 1 Lipca r. b., a na posiedzeniu dyrekcji ostatniem i ten termin znów odroczyć musiano, z kilku powodów, tak, iż ostatecznie wystawa w najlepszym razie, dopiero w połowie Lipca będzie otwarta, wówczas właśnie, gdy znaczna część mieszkańców, interessujących się wystawą, wyjeździe z miasta, a więc w porze najmniej odpowiedniej i mało obiecującej. Do trudności, z jaką dyrekcja towarzystwa ma do walczenia przy urzędowaniu dorocznęd wystawy, należy i ta, że skutkiem rozporządzenia ministerium oświaty, o salę na urządzenie wystawy w gmachu politechnicznym, będącym własnością rządową, udawać się musi obecnie za każdym razem z prośbą do tegoż ministerium, podczas, gdy dawniej wydawał to zezwolenie wprost rektorat akademii technicznej. Większą atoli trudnością w roku bieżącym okaza-

ła się ta okoliczność, iż na mocy nowo uchwalone ustawy o cłach tutejsza komora celna zażądała opłaty cła od ram, przysyłanych na wystawę obrazów. Rzecz naturalna, że opłata tego rodzaju uniemożliwiłaby wcale przesyłkę obrazów. Jakoż ustawa dotyczy tylko ram na handel z zagranicy sprowadzanych, a tem mniej takich, które po ukończeniu wystawy powrócą znów za granicę, z kąd przybyły. Żądanie komory celnej polegało na mylnem tłómaczeniu ustawy, ale stało się powodem, że paki z obrazami leżeć musiały parę tygodni na komorze, nim dyrekcja towarzystwa Sztuk Pięknych przeprowadziła, dla wyjaśnienia rzeczy, korespondencją z właściwemi władzami. Trzecią przeszkodą otwarciu wystawy jest też opóźnianie się pp. artystów z przesyłką dzieł zadeklarowanych. Wiele z nich jest dopiero w drodze. Wogóle wystawy lwowskie zaczynają mniej pociągać naszych malarzy niż dawniej. Być może, iż dlatego, że nie spodziewają się tu znaleźć takiego, jakby sobie życzyli, odbytu na swe dzieła; obawa to wszakże niesłuszna po części, bo jakkolwiek niema tu we Lwowie amatorów, mogących na obrazy krociowe wydawać summy i zakupywać dzieła tak wysokiej ceny, jak „Hołd pruski“ lub Siemiradzkiego „Pochodnie“, to zawsze przecież kilkanaście celniejszych obrazów na każdej naszej wystawie znajdzie kupca, a sama Dyrekcja Towarzystwa co rok pewną sumę na zakupno obrazów do losowania z funduszów swoich przeznaczająca. W tym roku zakupiła już dotąd na ten cel dwa piękne krajobrazy Grabińskiego. Młody tutejszy rzeźbiarz Błotnicki, którego dłuta statua Piusa IX znajduje się w cerkwi metropolitalnej s. Jerzego, bawiący obecnie we Florencyi, zapowiedział najnowsze swe dzieło „Głowa Chrystusa“, rzeźbioną w marmurze, a Andrzej Grabowski kilka portretów.

Przy zbliżającym się zakończeniu roku szkolnego rozpoczęły się egzamina publiczne w tutejszych zakładach wychowawczych żeńskich, w których kurs naukowy kończy się zazwyczaj wcześniej niż w szkołach publicznych. Na popisach tych znajdują się obecni, oprócz mniej więcej licznego grona słuchaczy, delegaci władz szkolnych, tudzież zaproszeni profesorowie szkół gimnazjalnych i uniwersytetu, wykonywający tym sposobem niejako kontrolę nad programmatem nauk i metodą, w każdym zakładzie przyjętą. Pierwszorzędne stanowisko od lat wielu zajmuje pomiędzy tutejszemi zakładami wychowawczemi pensya p. Boberskiej, tak pod względem zakresu i gruntowności udzielanych w niej nauk, jako też pielegnowania i kształcenia uczuć moralnych i obywatelskich, związanych z powołaniem i obowiązkami kobiety. Popis tegoroczny był tego, podobnie jak zawsze, wymownym dowodem. Również troskliwym kierunkiem odznacza się najmłodszy z tutejszych zakład wychowawczych panny Niedziałkowskiej, Warszawianki, który w niedługim przeciągu czasu swego istnienia, zjednał sobie wziętość zasłużoną, o czem popis tegoroczny wszystkich obecnych na nim także przekonał.

Sprawą reformy gimnazyów, jako też szkół ludowych wogóle, poruszoną przed dwoma laty w sejmie i mającą wejść na stol Rady Państwa, zajmują się u nas gorliwie w kołach pedagogicznych. Roztrząsały ten przedmiot obszernie, zwołane przez Wydział Krajowy i przez władze szkolne rządowe, narady tak we Lwowie i w Wiedniu, a oprócz tego wywołuje rzecz ta wiele rozpraw w tutejszej publicystyce, i broszur wyłącznie rozpatrzenia wszechstronnemu kwestyi reformy szkół poświęconych. Pomędzy temi jedną z najnowszych, zasługujących na uwagę, jest *Nowa metoda, stawiająca elementarną instrukcyę na naukowym poziomie, pomysłu Tadeusza Kozłowskiego*. Tytuł nieco zaciężki, podobnie jak i styl całej rozprawy, ale poglądu autora, będącego emerytem zawodu nauczycielskiego, zacierpniete z długoletniego doświadczenia, zasadniczo biorąc, są bardzo trafne i słuszne. Treścią rozprawy jest reforma nauki początkowej w szkole ludowej, polegająca na tem, ażeby nie rozpoczynać nauki w szkole elementarnej od mechanicznego ćwiczenia umysłu dziecka, jak to czyni metoda obrazowa, zastosowana w terażniejszej szkole ludowej do nauki czytania i pisanja, lecz, aby przedtem jeszcze, nim

się przystąpi do nauki na książce, zapomocą metody przemawiającej do zmysłów, rozwinąć w dziecku zmysł wewnętrzny, to jest *ogląd logiczny*, a to zapomocą nauki języka rodzimego, która tym sposobem ma być podstawą całego systemu nauki elementarnej i najbardziej, zdaniem autora, odpowiada rozwojowi *oglądu logicznego* w umyśle dziecka. Że nauka oparta na obudzaniu samodzielnego myślenia, czyli mówiąc wyrażeniem autora, na rozwijaniu *oglądu logicznego*, jest o wiele pożyteczniejszą od nauki mechanicznej pamięciowej, w której uczeń staje się niejako maszyną poruszającą się naślep, według tego jak ją nauczyciel nakręci, pożytkową powtarzającą bezmyślnie, popapuziemu, to co mu w głowę nałożą: to nie ulega wątpliwości, tego nikt autorowi nie zaprzeczy i każdy na zasadę przezeń przyjętą zgodzić się musi. Postawiwszy atoli zasadę, nie rozwija on bliżej szczegółowo metody, którą ów *ogląd logiczny* najskuteczniej w umyśle dzieci budzić i kształcić należy; powiada tylko wogóle, że dźać się to powinno zapomocą nauki języka rodzimego. Zapewne wyluszczy swą metodę dokładniej p. Kozłowski, w zapowiedzianej części drugiej swej rozprawy i wówczas dopiero będzie można ocenić należyte projektowaną przezeń reformę nauk w szkołach początkowych.

Wydawnictwo tanich książeczek dla ludu, związane roku zeszłego, krząta się czynnie około swego zadania, zapowiedziawszy po dwie książeczki co miesiąc. Dwadzieścia cztery tomiki na rok kosztują 2 złr. Jest to więc niezaprzeczenie najtańsze wydawnictwo ludowe w Galicyi, co przy przedsięwzięciach tego rodzaju wielką jest zaletą. Wszakże książeczki te odznaczają się, nie tylko taniością, ale, co więcej jeszcze daleko znaczą, dobrem treści i bardzo dobrze do potrzeb i pojęcia ludu zastosowanym stylem i sposobem przedstawienia rzeczy. Komitet wydawniczy postanowił przechodzić kolejno wszystkie najważniejsze kwestye, odnoszące się do położenia i stosunków ludu naszego i wyjaśniać je, najczęściej w formie powieściowej, jako najprzystępniejszej i najpoważniejszej, oile się umie rzecz zręcznie ująć i zajmująco przeprowadzić. W powiastce pigułka uzdrawiająca przechodzi niepostrzeżenie w organizm i działa skuteczniej niż podana w formie traktatu moralizującego. Potrzeba tylko, aby w takim razie powieść osnuta była na stosunkach rzeczywistych, dotykała tych stron, które ludowi najbardziej dolegają, tych spraw i przedmiotów, które z jego codziennym życiem i zajęciami ściśle są powiązane. Dlatego też książeczki dotyczące rolnictwa, sadownictwa, pszczelnictwa i wogóle gospodarstwa wiejskiego, najbardziej się rozchodzą pomiędzy ludem, najchętniej są czytane i za pomocą nich najskuteczniej można szerzyć oświatę. Najnowsza, w zeszłym miesiącu wydana, książeczka, już ósma z rzędu, w szeregu dziełek, o których mowa, wyszła pod tytułem: *Co to we wsi być może?* napisana przez Czesława Pieniżką, także w formie powiastki, a raczej pouczającego i zajmującego, treściwie prowadzonego dyalogu. Autor w podróży za swymi sprawami do W. K. Poznańskiego, korzysta z tej sposobności, ażeby wziętego z sobą Janka, parobczaka od koni, zawiadomić o tem wszystkim, czem się różni stopień oświaty i zwyczaj ludności polskiej W. Ks. Poznańskiego od tego, co tu w Galicyi widzimy. Rozpatrując się w stosunkach tamtejszych, poznaje zdziwiony Janek, jak to w dobrze urządzonej wiosce, w której podróży nasi dłuższy czas się zatrzymali, znajduje się i sklepik wiejski, zaopatrujący ludność miejscową we wszystkie domowe potrzeby powszedniego życia, i zamiast karczmy, gospoda z czytelną, dalej drogi dobrze utrzymane, obsadzone drzewami owocowymi, wreszcie straż pożarna, czuwająca nad bezpieczeństwem mienia i dobytku mieszkańców. I przekonują się Janek naocześnie o korzyściach tych wszystkich urządzeń, przekonują się *co to we wsi być może*, jeżeli ludzie są staranni i zapobiegliwi, a przytem radzi oświecać się i żyć moralnie. Zaletą tej książeczki jest to, iż nie tylko wskazuje ona korzyści zaprowadzenia w każdej wsi owych powyżej wymienionych porządków, ale zarazem objaśnia przystępnie ich organizację i sposób wprowadzenia w życie. Toruje ona w pojęciu włościan drogę podobnym instytucjom; o ich

zaprowadzeniu obecnie właśnie myślą u nas sfer, których zadaniem jest podniesienie oświaty i dobrobytu włościan. Zawiązane w ciągu ubiegłej zimy *Stowarzyszenie handlu wiejskiego* przedsięwzięło sobie za cel zakładanie, oile okoliczności, dozwolą, sklepików po wsiach z tem wszystkiem, czego włościaninowi potrzeba, a za czem teraz do pobliskich miasteczek chodzić musi. Sklepiki takie, w niektórych wsiach już pozakładane, są istnem dobrodziejstwem dla włościan; nie tylko bowiem dostarczają im wszystkiego po słusznej i tańszej cenie, niż kramarze miasteczkowi, ale, co ważniejsza, usuwają potrzebę zbyt częstych pielgrzymek po lada drobnostkę do pobliskiego miasteczka, a zatem zaoszczędzają włościaninowi czas, który lepiej może zużytkować przy gospodarstwie, a temsamem przyczyniają się poniekąd do umoralnienia ludu.

Stowarzyszenie handlu wiejskiego, zawiązane w gronie zamożnych i jedynie tylko dobro ludu mających na względzie obywateli, pod patronatem księcia Romana Czartoryskiego, gotowe jest dostarczać potrzebnych zapasów i funduszków pod odpowiednimi warunkami na zakładanie takich sklepików, ale największą trudność znajduje w braku ludzi do prowadzenia sklepików wiejskich uzdolnionych, na których usposobieniu i uczciwości polegać-by można. Z tego powodu rzecz ta zwolna dopiero w przeciągu dłuższego lat okresu na większe rozmiary da się skutecznie. Nie mniej trudności przedstawia tworzenie po wsiach *straży pożarnych*, instytucji nadzwyczaj potrzebnej i pożytecznej, czego dowodem jest każdy wypadek ognia na wsi, w którym-to razie zazwyczaj przy zupełnym u nas po wsiach braku porządków pożarnych i ogólnej nieporadności, większa część wsi pada ofiarą pożaru. Lud nasz jest dosyć w ogóle nieporadnym a tradycyjne sposoby gaszenia ognia także nie bardzo bywają skuteczne. Ażeby temu zaradzić, należałoby przedewszystkiem baczną zwrócić uwagę na naukę stosownej gimnastyki w szkołach ludowych i dla rozwijania zręczności ćwiczenia gymnastyczne często i regularnie odbywać.

(Dokończenie nastąpi)

WYPRAWA DO TONKINU

przez

Dubarda

przekład z francuzkiego.

(Dalszy ciąg)

Sygnal wzywający do powrotu wisiał już przeszło pół godziny na wielkim maszcie; łódź wysłana z okrętu z zapytaniem powiozła kapitanowi wiadomość, że brakło dwóch officerów do apelu. Nagle zdawało mi się, że usłyszałem w oddali strzał; natychmiast w odpowiedź wystrzeliliśmy cztery razy w krótkich odstępach—usłyszano nas, gdyż bezzwłocznie rozległy się cztery strzały dane w tensam sposób.

Pokazało się, że przeszliśmy punkt zborny co najmniej o pół kilometra, lecz widocznie zśliśmy równolegle z wybrzeżem i nie musieliśmy być zbytycznie oddaleni. Zwróciwszy się na prawo i idąc wprost do przebytej już drogi, usłyszeliśmy wkrótce plusk fali morskiej.

Ciemno już było zupełnie, na okręcie paliły się latarnie; ale łodzi niepodobna było dojrzeć. Dopiero po odgłosie uderzających wiosel poznaliśmy iż się zbliżała ku nam.

W kwadrans później wstępowaliśmy na stopnie sznurowej drabiny spuszczonej nam do łodzi z pokładu okrętowego; tylko nie wesoło mieliśmy miny, przewidując ostrą naganą kapitana za naszą awanturyczną wycieczkę.

Ale, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, kapitan nie uczynił nam najmniejszej nawet wymówki.

Później zrozumiałem przyczynę tej pobłażliwości kapitana, sam namiętnie lubiał polowanie.

W czterdzieści ośm godzin po tej przygodzie stanęliśmy wreszcie u celu naszej podróży, to jest przy ujściu rzeki Kam. Płytkość wody nie dozwalała nam zbliżyć się do lądu; zarzuciliśmy więc kotwice o dwie mile od brzegu. W niespełna pół dnia kanonierka została napowrót uzbrojoną—opatrzoną w żywność i amunicję, poczem odpłynęła dalej, mając się połączyć z dowódczą wyprawą, który kilka dni przedtem przybył na innym okręcie.

My, stosownie do otrzymanych rozkazów, mieliśmy pozostać na miejscu, czekając dalszych wypadków. Nie czekaliśmy długo; wkrótce w istocie uczestniczyliśmy w całym szeregu przygod składających wyprawę do Tonkinu.

Nie jest mojem zamiarem opisywać szczegółowo wszystkie wydarzenia tej wojowniczej wyprawy—trzeba-by bowiem wyliczyć zbyt wiele imion własnych i wyprowadzić na scenę żyjące osobistości. Nie, to nie jest moim celem; lecz pisać będę to, com widział, i czegom się dowiedział, jako prosty podróżnik, a nie jako uczony lub polityk.

VI. Tonkin. — Kilka słów o historii, etnologii i bogactwie krajowem. — Odjazd do Hanoi. — Szczęśliwe zwycięstwo.

Tonkin jest dotąd bardzo mało, lub nader niedokładnie znanym. Przed ostatnimi laty zwiedzali go tylko ojcowie Jezuici lub misjonarze, których opisy, aczkolwiek niezaprzeczonej wartości, dla świeckich jednak czytelników nie zbyt są pociągające, gdyż my przy szczerzej chęci nauczenia się czegoś, lubimy się zarazem zabawić.

Nazwa Tonkin, czy go piszą przez K, jak go obecnie piszą we Francyi, we wszystkich urzędowych dokumentach, czy przez G, pochodzi od dwóch wyrazów chińskiego języka: *Tun* i *kwín* albo *tong* i *kin* co ma znaczyć *dzielnica strony wschodniej* albo też *Stolica Wschodnia*.

Sądząc z nazwy, każdy zapewne pomyśli, iż kraj ten znajdować się musi na wschód od Annamu. Otóż wcale nie! leży on właśnie w stronie północnej tego państwa. Lecz chcąc zrozumieć tę figurę retoryczną, a prawdziwy nonsens geograficzny, należy się cofnąć do owych czasów, gdy Chiny rozciągały swe panowanie na Południo-Wschód poza Królestwo Siamskie. Wtedy-to wspaniali władcy Niebieskiego Państwa, po przepędzeniu gorącej pory roku w *Stolicy Północnej, Pekinie*, z nastaniem zimy szli naprzeciw słońca, przenosząc się w klimat cieplejszy nad wybrzeża rzeki Czerwonej do *Stolicy Wschodniej*—do *Tonkinu*.

Nazwa Tonkin, jak wszystko co Annamici zapożyczyli od Chińczyków, a raczej, co Chińczycy zostawili po sobie, cofając się na północ, nie przystaje wcale do tej części Kochinchiny. Tak samo rzecz się ma z wielu zwyczajami przyjętymi i przechowywanymi przez Anamitów z uszanowaniem bez granic.

Tonkin właściwy na południe graniczy z Kochinchiną i Laos; na północ z Chinami, a mianowicie z prowincją Kantonu; na wschód z tą samą prowincją i zatoką Morza Chińskiego przybierającą nazwę *Zatoki Tonkińskiej*—wreszcie na zachód ma Laos, Lak-ko i Chińskie prowincje Sunan i Kuan-si.

Po rozłączeniu się z Chinami Tonkin przechodził wiele zmian politycznych; raz podlegał, to znów wyswabadzał się spod władzy Anamitów, lecz ostatecznie i oddawna już dostał się pod ich panowanie; dziś, jeżeli zmienić władzę, co musi niedługo nastąpić—to przejdzie w ręce *Barbarzyńców Zachodu*, jak tam nazywają Francuzów.

Pomimo panowania Anamitów, trwającego przez kilka wieków, Tonkin niezupełnie się zjednoczył ze swymi zwycięzcami. W kraju tym żyje zawsze jakiś duch niepodległości, który w danym razie może przyczynić wiele kłopotów Dworowi w Hieu. Tonkińczyk jest Annamita, lecz mniej zniewiesciałym, aniżeli brat jego z południa. Dlaczego? Czy zależy to od klimatu, czy wypływa z pochodzenia i pewnych skłonności oddziedziczonych po przodkach?

Pod względem fizycznym Tonkińczyk mniej jest szpetnym od Annamity stron południowych; jest on wyższym, silniejszym i nie tak żółtym. Pomiedzy

kobietami spotkać nawet można twarze ładne, co w niższej Kochinchinie jest niesłychaną rzadkością. Wypływa to ztąd, iż pomieszanie krwi mongolskiej, chińskiej następowało tutaj bezpośrednio, aniżeli na południu—gdzie żywił miejscowy, nadzwyczaj brzydki, łączył się tylko z Rasą Siamską, mniej czystą i mniej silną od tatarskiego szczerpu.

Gdyby Tonkin nie był administrowanym przez mandarynów, to mógłby być krajem bogatym; ziemia jego bowiem, nader urodzajna, mogłaby wydawać oprócz ryżu wszelkie europejskie zboża, a w dodatku w łonie swem chowa olbrzymie bogactwo, jak naprzykład: pokłady rudy żelaznej, miedzi, cyny, srebra i złota; węgiel kamienny znajduje się również w wielkiej obfitości: ale ze wszystkich tych skarbów, ani jeden nie jest umiejętnie spożytkowywanym.

Kupiec Francuz, który na handlu w Chinach zebrał blisko półtora miliona franków, słysząc o bogactwach Tonkinu, zamierzył zwiedzić tę ziemię obiecana i udał się tam przez Niebieskie Państwo. Kupiec ten posiadał dom handlowy w Ankow nad brzegami Yang-tse-Kiangu ztamtąd więc postanowił wyruszyć i płynąć w górę Rzeki Błękitnej dostać się tą drogą na Rzekę Czerwoną. Było to przedsięwzięcie godne zaiste awanturników XVII i XVIII-go wieku; on je przecież doprowadził do pomyślnego rezultatu. Naturalnie nie przyszło mu to łatwo; po przebyciu niezliczonej ilości bystrych prądów rzeki, po zwalczeniu największych niebezpieczeństw, wreszcie mieszkańcy Hanoi ujrżeli z pewnego rodzaju przestrachem, połączonym z ciekawością, przybijającego do ich miasta niezamordowanego Francuza.

Hanoi czyli Ki-che — jarmark, targ — stolica Tonkinu, jest to wielkie miasto położone na prawym brzegu Rzeki Czerwonej, o czterdzieści ośm godzin drogi od jej ujścia.

Dupuis — gdyż domyślił się zapewne czytelniku, że to o nim mowa — przekonawszy się o możliwości korzystnego eksploataowania rozlicznych kopalni cyny i innych kruszców znajdujących się w Sunau, zawarł umowy handlowe nader korzystne z miejscowymi władzami i postanowił uczynić Hanoi głównym punktem swych handlowych obrotów, ponieważ to miasto znajduje się w równej odległości od morza, jak i granicy chińskiej, i przez swe geograficzne położenie było właśnie nad Rzeką Czerwoną najdogodniejszym dla niego miejscem do zamieszkania.

Tymczasem, oczekując upoważnienia annamickiego rządu do przebywania w kraju, a przewidując systematyczny opór mandarynów, zresztą chcąc sobie zapewnić życie oile można spokojne i pragnąc się zabezpieczyć od wszelkiego rodzaju napaści, tak ze strony krajowców jak i rabusiów chińskich, najeżdżających często tamte okolice, Dupuis uzbroidł w szpasoty straż złożoną z chińskich ochotników, kupił kanonierki, łodzie wojenne i zajął dom zmieniony naprędce w prawdziwą fortecę.

Jaki byliby los spotkał tego zuchwałego pioniera? Czy byliby mu się powiodły jego wielkie przedsięwzięcia? Czy też byłby zginął marnie z ręki buntowniczych band chińskich, niszczących kraj, które, korzystając z niedbalstwa mandarynów, ściągają od czasu do czasu potężne kontrybucye z biednego bezbronnego ludu?

Bóg to wie.

Otoż zdarzyło się, że pewnego dnia, przy ujściu rzeki Kam, zarzuciły kotwice francuzkie wojenne okręty; jeden z nich holował kanonierkę; naładowano więc na ten mały statek armaty, amunicyę, zapasy żywności, zabrano garstkę żołnierzy i majtków, i wkrótce mała wyprawa udała się w stronę Hanoi. Droga cała trwała blisko czterdzieści ośm godzin, gdyż trzeba było najpierw płynąć w górę rzeki Kam, aż do kanału Sonhi, aby się wydostać na Song-Koi czyli wielką Rzekę Czerwoną, nad której brzegami znajduje się stara stolica Tonkinu.

Była to podróż bardzo ciekawa. Kam przy ujściu swoim zdaje się zupełnie zlewać z morzem. Z początku brzegi jej są niskie i bagniste—lecz stopniowo podnoszą się nad poziom wody, tworząc istne tamy, służące jako drogi do holowania statków. Z obydwóch stron, jak oko zasięgnąć może, ciągną się przepyszne lądy dojrzwającego ryżu.

Gdzieniegdzie forteczka, usypana z ziemi, zbrojna w armaty, przybrana chorągiewkami jaskrawych kolorów, wznosi się groźna na drodze przybyszów; kanonierka zwalnia bieg swój, załoga staje w szyku bojowym i statek posuwa się ostrożnie, nie chcąc być zaskoczonym znieacka. Ale armaty forteczek milczą, kanonierów nie widać, sztandary powiewają spokojnie, poruszane lekkim wiatrem, i kanonierka przepływa dumnie, rzucając w powietrze szyderczy świst, powtórzony przez echa opuszczonej twierdzy. Przy każdej kępie drzew, w cieniu zielonych gałęzi widać powabną wioseczkę i ozłoczone promieniami słońca—chaty, zbudowane z bambusowych mat. Lecz mieszkańców rzadko widzieć można — uprzedzeni bowiem od rana o przybywającej piekielnej jakiejś machinie, pełnej barbarzyńców, uciekają w głąb kraju lub siedzą w domach ukryci. Ci tylko, którzy są już ochrzczeni, przybiegają na wybrzeża i chcą się dać poznać, żegnają się, czyniąc przytem tysiące znaków, objawiających przychylnie powitanie. Zabawnie patrzeć, jak ci biedacy, usłyszawszy świst maszyny parowej, zjęci szalonym przerażeniem, uciekają, by za chwilę powrócić i ze śmiechem rzucić się na kawałki sucharów, które im rzuca załoga kanonierki.

W miarę posuwania się, coraz trudniej płynąć, kanał staje się bardzo nierównym, raz jest tak głębokim, że mógłby tu żeglować swobodnie pancernik pierwszego rzędu, to znów tak wązkim i płytkim, że kanonierka musi stanąć, szukając przejścia; co chwila trzeba zapuszczać sondę i mieć się na baczności. Niekiedy trafia się na dziwnie gwałtowne prądy; szczęściem, bagniste wybrzeża nie są niebezpieczne, można też do nich przybijać śmiało, skoro nagły skręt rzeki nie pozwala odrazu kanonierce wykonać swobodnego obrotu. Wreszcie kanonierka dopływa do celu. Noc już zapadła od dwóch godzin, gdy Francuzi, wylądowawszy, udali się do budynku przeznaczony im na mieszkanie przez rząd annamicki.

Czego chcieli ci ludzie w dawnej wschodniej stolicy wszechpotężnych władców Niebieskiego Państwa?

Oto odpowiedź, jaką na to zapytanie dawała odezwa naczelnika wyprawy, rozlepiona na rogach ulic miasta:

„Roztworzyłem żeglugę na Rzece Czerwonej, dla handlu francuzkiego, hiszpańskiego i chińskiego, jak również i dla handlu państw innych, po przednim porozumieniu się z niemi. Chińczyków biorę pod moją opiekę, więc żądania swoje do mnie zwracać powinni, nie zaś do annamickich mandarynów, jak dotąd było“.

Dumna ta odezwa wprowadziła w nader dobry humor rządzącą prowincyę, głównego kommandanta placu w cytadeli. Stary marszałek N-Huyen-try-fu zaśmiał się podobno wiele z tej zarozumiałości—jednakże ze wschodnią grzecznością, pomieszaną zawsze z szachrajstwem, w czem Annamici szczerzejsi są jeszcze od innych plemion, przyjął grzecznie francuzkiego oficera i jego sztab; rozkazał, aby jaknajlepiej urządzono wyznaczone dla nich mieszkanie, sprawił im wielkie czułości, ale w rezultacie nie chciał wchodzić w żadne układy przed otrzymaniem rozkazów od swego monarchy.

Przyznano mu słusność. Wyrachowano więc czas potrzebny na podróż tam i napowrót do Hine, prócz tego dodano coś jeszcze, licząc na konieczną zwłokę, wynikającą z wrodzonej Annamitom powolności, przy przedsięwzięciu jakiejkolwiek bądź czynności — widząc jednakże, iż czas upływa a odpowiedź nie nadchodzi, posłano jego dostojności N-Huyen-try-fu następujące ultimatum:

„Jeżeli po upływie czterdziestu ośmiu godzin jego dostojna wysokość nie da naczelnikowi wyprawy francuzkiej odpowiedzi przychylniej na jego żądania, a przynajmniej, jeżeli nie przedstawi słusznych przyczyn, wyjaśniających tak niepojętą zwłokę, cytadella zostanie szturmem zdobyta“.

Odezwa powyższa zdwoiła tylko wesołość dzielnego kommandanta, który o mało nie zachorował ze śmiechu, gdy mu przeczytano to oświadczenie w tak krótkich lecz dobitnych słowach skreślone.

— Nędzarze! A wielu ich tam jest?

— Ze trzydziestu, wasza wysokość — odparł sekretarz.

— Musi być więcej — rzekł wielki mandaryn, marszcząc brwi.

Sekretarz sądząc, iż źle zrozumiał chęci swego pana, poprawił się.

— Przebacz wasza wysokość, chciałem powiedzieć trzydzieści tysięcy....

— Trzydzieści tysięcy bambusów na twój grzbiec podły! idź do dyabła.

Dworak nie dał sobie powtórzyć dwa razy tego rozkazu, kontent, że się na tem tylko skończyło.

Zresztą wielki mandaryn doskonale był powiadomiony o liczbie Francuzów, że to była garstka, zaledwo setkę przechodząca.

— Hołota! — powtórzył raz jeszcze do siebie; — śmieć grozić cytadeli, mającej więcej, aniżeli czterdzieści, (li¹) obvodu, cytadeli zbudowanej z doskonałego kamienia i to zbudowanej według planów niejakiego Vaubana²), barbarzyńcy wprawdzie, ale znającego się wybornie na budowach tego rodzaju. Śmieć grozić cytadeli, posiadającej bramy z drzewa tak mocnego jak żelazo, otoczonej fossami pełnemi wody, wałami, murami, palisadami i mającej w zapasie kolczaste belki, armaty i inne narzędzia wojownicze, obsadzonej dziesięcio-tysięczną załogą walecznych obrońców, zaopatrzonej w żywność, co najmniej na kilka miesięcy. Zapewne ci barbarzyńcy postradali i tę odrobinę rozumu, którym ich tak skąpo obdarzyła natura.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, w Czerwcu 1882 r.

Doroczna Wystawa Sztuk Pięknych w Paryżu. — Ogólne wrażenie: lichota, mierność, brak zupełny ideału i smutne oznaki upadku sztuki. — Krytyka i sąd o Mat-jce. — Pięć posągów Kamilla Desmoulin's'a — Stosunek odwrotny postępu w malarstwie, do dzisiejszej ceny obrazów. — Carolusa Durand'a, obraz religijny. — Zdziwienie powszechne. — Artysty polscy na tej wystawie: Brandt, Gąsowski, Bakałowicz, Chelmoński. — Rzeźbiarstwo. Cypryan Godzki. — P. Antokolski i jego marmurowy paleot. — Wystawa „retrospektywna” malarza Courbet'a.

(Dokończenie).

Artysta przytem maluje portrety czasem; tego roku widzieliśmy portret mężki. Jestto poprawne, gładkie, przyjemne dla oka. Ale portret doskonały, nawet dobry portret, to trudny do zgryzienia orzech... którzy z malarzy nie malował w swem życiu jednego lub kilku portretów? Ale ileż-to jest na świecie takich, które mają swój odrębny, wyłączny znamiona? Nie prostszego i nie trudniejszego nad oblicze ludzkie; każde ma swój wyłączny, odmienny charakter i wyraz. A ten charakter, ten wyraz gdzie jest? w czem się właściwie zamyka? Oto sęk! Ten go ma w oku, ten w ustach, ten w nosie, ten w jakimś skrzywieniu ledwie dostrzeżonem, w zmarszczce — nie wiem już w jakim jakby fałowaniu rysów. Schwycić to, dojrzeć, zrozumieć, to już wielka trudność, a oddać tak, aby to nie było jakimś skrzywieniem i grymasem — wymaga zasobów niezmiernego i wrodzonego talentu. Podobieństwo rysów zwyczajne, to rzecz ostatnia, o którą się troszczy artysta. Podobieństwo daje i fotografia; ale prawdziwy i dobry portret, raz jeszcze powtarzam, to rzecz trudniejsza nawet, niżli dobry obraz. Otoż według tej definicyi pokazuje się, że portret malowany przez pana Bakałowicza, nie zdaje się, aby odpowiadał wszystkim warunkom, o których wspominałem. Zapewne jestto portret dobrze malowany, bo przecież nasz artysta zna się z paletą i pędzlem. Ale też u nas dobrze powiadają, kiedy kto nie ma życia i duszy: „stoi jakby malowany“ — i tak też ten pan jest malowany.

Jakże to trudniej jeszcze wytlómaczyć sobie i drugim to skryztałizowanie się talentu artysty,

1) Jeden li równa się 100 metrom.

2) Cytadella Hanoi zbudowaną była przez Portugalczków.

szczególniej kiedy chodzi o takiego artystę, jak p. Chelmoński, któż u nas nie wie i nie słyszał o tym malarzu, który na zawołanie ma wierzgające, szalone rumaki, i jak apokaliptyczne widziadło na ogromnym smoku zdaje się jeździć. Tak było dawniej, i lecąc z nim w sankach albo najteżczaco po straszliwych zatokach i kolejach, dopiero człowiek rozumiał, jak to sowizdrzał swoją matkę woził, i ze strachem się pytał, dokąd to nas nie zaprowadzi taki artysta? Otoż pokazuje się teraz, że nie zaprowadzi on nas wcale daleko — wyjechaliśmy i tutaj na ubitą i znajomą ścieżkę, znowu wracamy do owej odwiecznej a tak znajomej karczmy ukraińskiej, do tych bab zamurzanych i oczywiście pijanych, bo się nie trzymają na nogach, do tego gruntu co to ni ziemia, ni woda, ni śnieg ni piasek — coś jakby pole zorane, jakby rozkopane drogi, a brudno, szaro wysmarowane, jakby słońca nigdy tam nie było. Do obrazka tej wiecznej karczmy od dwóch czy trzech lat, artysta dodał *wariant*, kozaków! — ale nie owych, co to hulają po stepie z bandurzystami Brandta, jeno kozaków wojskowych. W tej próbie malarz zmuszony do mundurowej, wojskowej jednostajności, traci nawet swój węż koniarza i zdaje się jakby malował żołnierzy dla dzieci; tak idą równo, spokojnie, jeden za drugim, nawet bez tego animusza, który się budził kiedyś, przy odgłosie: „Panowie, gęsiego!”

Jam dla Chelmońskiego marzył inną specjalność, a nie kozacką; oto całą epokę legionów i późniejszą od 1815 r. Są to rzeczy nie dotknięte prawie, a wszakże gdyby nie chodziło nawet jak o zachowanie pamiątek mundurów i ubrania, jużby to powinno być wielką zachętą dla takiego artysty, jak p. Chelmoński. Tu, w Paryżu, w ministerium wojny i w prywatnych zbiorach, znalazłby dokładne i gotowe materiały. Powstałaby ztąd prawdziwie artystyczno-historyczna galeria, ciekawsza pod względem sztuki od ukraińskich karczmy i kozackich marszów, a mogąca codo wartości nawet pieniężnej przewyższyć dawniejsze prace malarza i otworzyć mu nowe źródło odbytu. Naciskam tu na stronę handlową, bo wiem, że i tego potrzeba. Ale czy mię usłucha Chelmoński albo Brandt? Wątpię. Artysty mają swoje upodobania i narowy, a rady piszących uważają za odezwy Filistynów. Mają może rację; czyż nie mieliśmy przykładu: Orłowski malował Tatarów i Czerkiesów, a Michałowski francuskie konie pociągowe!

O innych zamilczę, nie chcąc powtarzać tego, co się o ważniejszych powiedziało; nie chodzi tu wcale o to, aby mówić o malarzach, bo są Polacy, ale o to co dobrego zrobili Polacy. Przejdźmy do rzeźbiarstwa; niewiele tu nazwisk polskich, a i w tem małym kółku jakże trudno znaleźć prawdziwy talent! Widzimy z tego, co się działo w Krakowie. Zapewne komitet czy komisyja nie składała się z ludzi fachowych, co może najlepiej, ale przecież nie znalazła żadnego artysty, któryby odpowiedział myśli programu, przepraszam! znalazła jednego, ale to jak dziś wiadomo, przez protekcję i dla zrobienia sobie popularności, dlatego niby, że wybrali właściańskie dziecko: to też powiedziano im, że zrobili dziecinństwo. Tu chodziło o pomnik dla Mickiewicza i o dzieło sztuki, a nie o utylitarne i humanitarne wybryki. Nie wybrali i nie znaleźli godnego, ale naprzód czy z projektów rysowanych lub malowanych na papierze, komisyja ta była zdolną rzeczywiście zrozumieć jak ten lub ów pomnik będzie wyglądać po wykonaniu — i w ten sposób poważnie i dowodnie wyrazić swe zdanie? Wątpię, ale oto z wystawy zajechałem do Krakowa, może niepotrzebnie, a przecież stosownie, bo na wystawie przechodzimy do działu rzeźbiarstwa, i tu znajdujemy się wobec dwóch dzieł naszego rodaka, który również był jednym ze snycerzy ubiegających się o premium krakowskiego konkursu. Mówię tu o p. Cypryjanie Godebskim, który jest jednym z naszych snycerzy, może najbłęgszym w swej sztuce. Ale że to dziwna a wskroś artystyczna natura, zuchwała i trochę bepańska, Godebski nie umiał sobie zaskarbić miłości, a zatem i wziętości powszechnej. Ja tu sądę bezstronnie. Znam wszystkich naszych rzeźbiarzy dzieła i sam kiedyś stroilem koperczaki do tej kapryśnej mistrzyni, co się zowie sztuką. Otoż mogę wyznać

otwarcie i śmiało, że Godebski co do pojęcia i zrozumienia snycerstwa jest najkompetentniejszym ze wszystkich; niech mi raczą darować ci, o których tu idzie! a co do praktyki dłuta, co do siły i energii rzeźwania w marmurze, co do układu i kompozycyi przedmiotu, nie ustępuje żadnemu z naszych snycerzy, tak, — z naszych, a nawet i z wielu obcych.

Nie chcę tu mówić o jego statuetce *Miłość* prosiąca o jałmużnę, bo to jest rzecz drobiazgowa, ulotna fantazyja artysty; bo dla tej natury krwistej, gwałtownej, potrzeba bryły wielkich rozmiarów, potrzeba, aby oburącz szedł w zapasy z twardym kamieniem i gwałtem weń przelewał życie. Ale zatrzymajmy się chwilę przed tem dziwnym pięknem i pełnym życia popiersiem *Serwego*. Blizkiem bardzo, rodzinne stosunki wiązały Godebskiego ze sławnym belgijskim wiolonczelistą, Godebski primo voto był ożeniony z córką Serwego. Popiersie to żyjący obraz zmarłego artysty, zaprawdę. Niepodobna jest posunąć dalej podobieństwa i charakterystycznego wyrazu tej twarzy, w której oddycha słodycz i dobroć niesłychana, a razem to rozumne spojrzenie i to jakby zbudzenie się ku wszystkiemu, co mogło uderzyć wyobraźnią albo dotknąć serce artysty.

Zdaje się, że to piękne popiersie przeznaczone jest do konserwatorium w Bruxelli, czy do muzeum rodzinnego miasta, którem jest podobno *Namur* w Belgii. Mógłbym tu dodać kilka jeszcze nazwisk, ale te nam nic nie powiedzą, coby szło do serca, a więc, jak mówił Childe Harold Byrona, „jedźmy, nikt nie woła!” Ale przepraszam, zatrzymuję mię duży posąg naturalnej wielkości człowieka w paletocie, a obok niego ten przyrząd kolei żelaznej, który się tu nazywa *aiguille*. Jestto rodzaj dźwigni, zapomocą, której nadaje się kierunek pociągom na przecinających się i krzyżujących szynach kolei. Jak się to nazywa popołsku? nie wiem! Jestto więc ów człowiek, ktoś należący do dróg żelaznych. Inżenier zapewne. Z twarzy nie wygląda na orła, ale to nie przeszkadza wcale, iż może być bardzo biegłym w swym fachu człowiekiem. Ale... Cała uwaga, całe wysilenie się artysty było zwrócone ani na twarz tego prałata, ani na jego postawę, która jest dość powszednia, ale na ten zadziwiający i niesłychany paletot, który rzeźbiarz (p. Antokolski) z taką dokładnością wykonał, że to może uchodzić rzeczywiście za pomnik wystawiony dla przekazania potomności — sławnego paletota.

W każdym tak kierunku i na każdej drodze spotykamy się z realizmem, *alias* naturą, jak ją dziś pojmują w literaturze i sztuce. Nie podobna jest zgodzić się na to, aby w tem było rozwiązanie jednego z najtrudniejszych zagadnień; przychodzi się w końcu do tego wyniku, że geniusz albo wielki talent zawsze się zgodzi z naturą i prawdą, bo jest zawsze prosty i jasny w swych utworach, a reszta zawsze będzie rodzić dziwolągi, bo, szukając efektu, wpada w przesadę i fałsz.

Mieliśmy tu wystawę wszystkich, albo przynajmniej największej części i najlepszych, dzieł malarza *Courbet'a*. Był to jeden z patryarchów szkoły realistycznej malarzkiej we Francyi. Otoż dziś, patrząc na te obrazy, które niegdyś tyle narobiły hałasu, około których i o które toczono tak zaciekle spory, jedni, wynosząc pod niebiosa artystę i jego dzieła, drudzy mieszając je z błotem, — dziś z pewnem zadziwieniem szukamy powodu tej srogiej walki, której nie nieusprawiedliwiał w tych obrazach. Courbet posiadał w wysokim stopniu biegłość i wprawę malarską, jako praktyczną, materyjalną stronę sztuki malowania. W niektórych obrazach ta biegłość jest zadziwiająca, szczególnie w pejzażach. A przecież Courbet nie był to ani kolorysta ani rysownik; w rysunku był słaby i widocznie nie miał wrodzonego usposobienia do linii. Zato rozporządzał massami i sprzecznością tonów, i dlatego pejzaże jego są najlepszą częścią w obrazach, któreśmy widzieli. Kompozycja wszędzie jest niedołężna, a czasem dziecinna. Wyraz twarzy i położenie ciała ordynarne i wstrętne. Chcąc niby malować prostotę, której nie miał we własnej naturze, wpadał w trywialność i gburowatość. Wszędzie widać, iż malarz zaprzętał się więcej swoją paletą, aniżeli swoim przedmiotem, który mu służył jakby za szyld tyl-

ko, za pozór do dania i puszczenia woli ręce i pendzlowi.

Wystawa ta nie nas nie nauczyła nowego. Wiodocznie urządzono ją w interese przyszej sprzedaży wielu z tych obrazów. Był to więc rodzaj handlarskiej reklamy, która jednak nie zdaje się aby również wydała plon, na jaki liczyli organizatorowie tej wystawy. Dla tych, co byli świadkami pierwszych wystąpień Courbet'a i srogiej walki stoczonej z jego powodu w ówczesnej krytyce artystycznej, ciekawą było rzeczą oglądać dziś zebrane prawie wszystkie obrazy tego malarza, co jest tem trudniejsze, że wiele z nich należy do zbiorów publicznych albo prywatnych, które niechętnie zgadzają się na oddanie ich na widok publiczny. Ciekawy w tym zbiorze był portret sławnego publicysty Prudhona z dwojgiem dzieci. Kompozycja naiwna aż do przesady, niewiele warta, ale twarz, modelo wana z wielkiem staraniem, jest dziełem prawdziwie artystycznej wartości.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Praca kobieca znalazła sobie u nas gałąź nową; kobiety zostały użyte do obsługi telefonów i obecnie jest ich zajętych trzy, z placą po 25 rs. miesięcznie. Zajęcie wymagalne jest łatwym i nie nużącym. Na znak dany przez odbywający się dzwonek, wyskakuje numer telefonu, który przemawiać pragnie; telefonistka będąca na służbie zwraca się tam i daje znać, że słucha. Zapytuje z kim chce korespondować odbywający się telefon, który odpowiada; wtedy zawiadomiona już telefonistka daje znać dzwoniąc osobie do rozmowy wezwanej. Ta odpowiada jeżeli jest w domu, lub milczy, skoro jej niema, o czem telefonistka daje znać osobie czekającej i następnie łączy między sobą druty obu telefonów i rozmowa odbywa się już bez jej pośrednictwa, które zajmuje, a nawet powinno zajmować, zaledwie kilka minut. Dobry słuch, szybkość i zręczność poruszeń, oraz taka znajomość francuskiego, niemieckiego i rossyjskiego języka, aby w nich mogła zapytanie rozumieć i naodwrot zapytanie uczynić — oto kwalifikacya telefonistki. Godziny zajęcia są na zmiany: codzien od siódmej rano do drugiej popołudniu, lub od drugiej popołudniu, do dziewiętej wieczorem. Dyżury nocne odbywają mężczyźni. Zczasem gdy rozpowszechni się użycie telefonów, liczba telefonistek dojdzie do 6. Prośb o pomieszczenie złożono już w biurze zarządu mnóstwo.

Malarnia p. Józefy Żdzarskiej, która w roku zesłym pomnożyła warszawskie zakłady pracy kobiecej, wykazała przy zamknięciu rocznego kursu rysunków, oraz malowanie na szkle i porcelanie bardzo szczęśliwe rezultaty. Uczennice pod kierunkiem utalentowanego przewodnika, malarza p. Alchimowicza, uczyniły znaczne postępy i znajdowały już zarobek w zakładzie o którym można powiedzieć, że jest w całym znaczeniu tego słowa uczciwym i pracy robotnic nie wyzyskującym. Uczennice, a z kolei pracownice zakładu malowały już na własną korzyść zastawy do herbaty, wachlarze i ozdobne pudełka, a teraz dowiadujemy się z *Kuryera Warszawskiego*, że zakład, jako prowadzony przez byłą przełożoną wyższej szkoły żeńskiej, ma prawo i zamiar przyjmować pensyjnarki, co można zaliczyć do rzeczy bardzo szczęśliwych, bardzo pożytecznych dla pożądanego rozwoju pracy kobiecej u nas. Młode panny, przybywające do Warszawy dla nauki chlebodajnej pracy, niezawsze znajdowały pomieszczenie, jakiegoby dla nich pragnąć trzeba; teraz przecież otwiera im się miejsce, gdzie zapewniona im będzie opieka wykształconej, zacnej, iście matczyńskiemi uczuciami dla młodzieży przejętej kobiety, a zarazem możność kształcenia się nietylko w kierunku artystycznym. Będą mogły stale korzystać z konwersacyi w języku francuskim i niemieckim, przytem przełożona zakładu potrafi w szerszym już znaczeniu tego wyrazu udzielać im w skazówek co do wyboru książek do czytania, co jest rzeczą niemałego znaczenia, tak pod wzglę-

dem oświecenia umysłowego, jak i wpływów moralnych, niezmiernie ważnych dla młodości. Duże miasto ma otwarte wypożyczalnie książek, jakich kto zażąda; wiemy za pośrednictwem księgarni, że młode pracownice w chwilach odpoczynku, wśród długich, niezajętych wieczorów zimowych, czytają wiele i czytają bardzo często źle, choć niezawsze z zamiarem naprzód powziętym. Nieznajomość literatury gra tu rolę główną; ciekawość wzbudzona przez rozgłosne nazwisko autora, o którym nie wiedzą rzeczywiście, co im da w książce swojej, jest zwykle początkiem skrzywionego, szkodliwego kierunku. Mając obok siebie osobę wyższego wykształcenia i wyrobioną pedagogicznie, będą już mogły uniknąć tych i wielu innych omyłek. Zakład p. Józefy Zdarskiej mieści się w pobliżu Ogrodu Saskiego, przy ulicy Marszałkowskiej pod N-rem 69.

Pismo nasze otrzymało ciekawą w swoim rodzaju odezwę w języku angielskim, wystosowaną przez Amerykankę, Wiktorję Clofflin Woodhull, „do wszystkich ludów całej Europy, Ameryki i całego świata, aby się zbiegły koło jej sztandaru i poparły ją w jej prawie przedstawiania ludu amerykańskiego, rządzenia nim, pracowania dla niego“. M-rs Woodhull stawia w ten sposób kandydaturę swoją na prezydenta Stanów Zjednoczonych, którego wybór przypada w 1884 r., a przypuszczać można, że korona na głowie królowej angielskiej pobudziła tak jej ambycją, bo, jako Wiktorja także, zapytuje: „Jeżeli jedna Wiktorja może rządzić, dlaczegożby druga nie miała przyrządować? Przytacza ona na poparcie swoje historyczne przykłady i innych monarchii Europy, a do przymiotów, które posiadały, jakkolwiek były kobietami zdaje się zaliczać szorstkość, bo odnosząc się do jednej z wymienionych pyta, czy nie była tak szorstką „was she not rude“ jak Fryderyk Wielki? Jest tam wzmianka i o nas, bo o sejmie polskim.

M-rs Woodhull należy do rodziny i miejscowości w której skrajne pojęcia emancypacji kobiecej rozwinięte są silnie. Urodzona w stanie Massachusetts jest ona siostrą Williama Claflin, który jako zarządca tegoż Stanu, wniósł w 1871 r. adres do Ciała Prawodawczego, zalecając zmiany w konstytucji odnośnie do prawa własności kobiet i głosowania publicznego, które należy się kobiecie, jako prawo przysługujące każdej dorosłej i rozumnej osobie, posiadającej obywatelstwo amerykańskie. Amerykańska autorka, miss Robinson w dziełku swoim: *Massachusetts in the Woman Suffrage Movement* przytacza fakt, że w Massachusetts-to podniósł się pierwszy głos, żądający równouprawnienia kobiety. Żona pierwszego po Waszyngtonie prezydenta Stanów Zjedn., Abigail Adams, w liście pisanim do męża swego w 1774 roku odzywa się: „Pragnę, abys w nowym kodexie praw pamiętał o kobietach, był przychylniejszym i wspinałomysłnijszym dla nich, niż nasi przodkowie. Nie dawaj nieograniczonej władzy w ręce mężów. Pamiętaj, że wszyscy mężczyźni będą tyranami, jeżeli im to pozwolone zostanie. Jeżeli nie dacie kobiecie troskliwszej opieki, nie zwrócić na nią większej uwagi, jesteśmy zdecydowane na bunt (we are determined to foment a rebellion) i nie będziemy uważały się za obowiązane prawom, w których nie będziemy posiadały głosu i reprezentacji“. Amerykanki ówczesne nie otrzymały przeciw tego, co żądały tak stanowczo, i Abigail Adams, kobieta tak silnego wiadca ducha, jak jej biblijna mienniczka, z żalem wymawia mężowi w liście pisanim następnie, że zapomniano, czem kobieta była dla Ameryki w wojnie z Anglią i straszy go, że ucisniona wstrząśnie kiedyś w zły sposób wiążąc ją bezprawiem. Że Amerykanki dotrzymały tego, rzecz niewątpliwa: najdziwaczniejsze, najpotworniej mrzonki emancypacyjne, zamachy przeciw rodzi-

nie, wychodzą z tamąd, choć trzeba przyznać, że drugostronnie Amerykanka-to wprowadziła w wykonanie najlepszą, najważniejszą nowość pedagogiczną naszego wieku — objęła całkowicie pierwszą naukę dziecka i tak się poczuwa do pracy, do obywatelskiego obowiązku w tym kierunku, że z małym wyjątkiem każda wykształcona miss amerykańska jest choć rok, choć dwa nauczycielką publiczną. Zyskuje na tem nietylko to dziecko, które ona wszkółce ludowej naucza, ale kształci się w niej samej matka.

Amerykanka, M-rs Ladreyt z Bostonu otrzymała pierwszą nagrodę 10,000 franków za dzieło napisane na konkurs zmarłego już dziś J. Pereiry: w jaki sposób zapobiedz nędzy klas pracujących? Sądząc, że nazwisko kobiety uprzędałoby mniej przychylnie dla nadesłanego rękopisma, podznażyła go autorka tylko literami, a jakkolwiek następnie po ogłoszeniu przez nią prawdy, pisma francuzkie chciały w tem widzieć żart amerykański, dziś już niepewność została usunięta w sposób niezbity, gdyż nagrodzona pisarka przybyła do Europy i stawiła się osobiście po odbiór nagrody.

Afryka staje się celem szlachetnej pracy kobiet nad ludnością tamtejszą. Małgorzata Scott, Amerykanka, udała się w tym celu do Liberyi, gdzie rząd miejscowy wyznaczył 200 morg gruntu na wzniesienie szkoły dla dziewcząt, którą ta misyonarka cywilizacji prowadzić zamierza.

Wyjdzie wkrótce w angielskim przekładzie japoński romans: „Genij Monogatary“, napisany przez kobietę. Tłomacz, Sugemac Kenchio, sekretarz poselstwa japońskiego, zamieścił w przedmowie szkic literatury japońskiej, wśród której znaczna liczba kobiet należy do pisarzy klasycznych. Kobiety japońskie utrzymały i zachowały krajowi mowę ojczystą, gdy przez polityczne Chin ciążenie językiem urzędowym stał się chiński. One głównie, one przeważnie, pisały po japońsku, po japońsku też mówiono w rodzinach. Kenchio w gorących słowach oddaje zato dzięki kobiecie japońskiej: nazywa ją rdzeniem narodu, rodzicielką uczuć szlachetnych. Obecnie kobieta japońska chętnie przyjmuje tę naukę europejską, w której kształci się męzka młodzież japońska, i nie chce pozostać w tyle, pragnie zawsze odpowiedzieć temu pierwowzorowi kobiety, jaki przeszłość została w jej spuściznie. Ciekawą też będzie książka, której przekład ma wyjść wkrótce w Londynie; szkoda, że „Times“, podając tytuł japoński, niezamieścił co znaczy po angielsku. Przypuścić też trzeba, że tworzy go imię własne.

W Indjach, w Madras, zebrano się w przedświątyni kilkaset wdów w celu wystosowania adresu do królowej Wiktorji z prośbą o zajęcie się ich losem. Za wdaniem się angielskiem zniesione zostało żywopalenie wdów na stosie męża, co uważane jest przez Braminów za obowiązek moralnie doskonałej kobiety — istnieje przeciw dotąd prawo, na zasadzie którego wdowa nie może wchodzić w powtórne związki małżeńskie i o zniesienie go indyjskie wdowy zwracają się do angielskiej monarchini. Kobiety w Indjach idą zamąż niezmiernie wcześnie, w dzieciństwie; zwykle na lata między ósmym a jedynastym, dwunastym rokiem przypada najwięcej małżeństw; gdy więc kobieta owdowieje po kilku latach pozycia małżeńskiego, czyż jej długie jeszcze, bo ledwo że rozpoczęte życie ma płynąć w samotności? Przytem kobieta indyjska, wdową zostawszy, dostaje się pod surową opiekę rodziny, co wszystko wytwarza jej los bardzo nieszczęśliwy, szczególniej w klasach pracujących, gdzie się staje prosto niewolnicą. O zmianę tych praw: o swobodę w samotności, o wolność wstępowania raz drugi w związki małżeńskie proszą Indyanke królowej Wiktorji. Przewodniczyła zgromadzeniu wdowa, Dysznagur, kobieta bardzo młoda i sławna z piękności.

Cesarzowa Niemiecka Augusta zajmuje się bardzo czynnie losem młodych dziewcząt przybywających do Berlina za chlebem, za służbą. Pismo nasze już wspominało o ochronie, jaką takie dziewczęta znajdują w przytułku zostającym pod opieką cesarzowej, gdy przybywając do Berlina, niewiedzą kedy się obrócić, jak wyżyć z małej zwykle kwotki, którą posiadają? Otóż teraz stowarzyszenie współpracujące w tym samym uczciwie dobroczynnym celu, wniosło za pośrednictwem polityki miejskiej prośbę do Zarządu Dróg Żelaznych, aby po wszystkich wagonach 4 i 3 klasy umieszczone były wyraźnie drukowane plakaty, ostrzegające młode podróżniczki przed zwracaniem się do prywatnych stręczycieli i stręczycielek, a szczególnie do tych, które na spotkanie ich czekają już na stacyach kolejowych, a nawet wyjeżdżają naprzód o mil kilka poza Berlin i tam ofiarują im pośrednictwo w wyszukaniu pracy, lub czasowego pomieszczenia. W plakatach oznajmieniem będzie również, że osoby, interesujące się uczciwie losem do miasta przybywających dziewcząt i kobiet młodych wskażą im drogę do biura przyjmującego w opiekę przybyszki; zarazem udzieli im adresów, gdzie znajdują pomieszkacie czasowe i kantor stręczycieli istniejący z wiedzą i upoważnieniem policji. Szkoda jednak, że adresy te zaraz na plakatach nie są podane, bo dziewczyna młoda i prosta, najczęściej bardzo nieśmiała, może być łatwo wprowadzona w błąd co do osoby, która jej się przedstawi jako czuwająca właśnie nad nią ze strony towarzystwa.

Rzecz to silnie nas obchodząca, gdyż wiele dziewcząt Polek i katoliczek szczególnie z Prus Wschodnich i Zachodnich do Berlina za służbą przybywa. W Hotelu Rzymskim *Pod lipami* znajdującą się w roku zeszłym na pierwszym piętrze pokojówka, Polka z Warmii, mówiła o tem przejeżdżającej pani ze łzami w oczach, że niejedna z nich wyszła bardzo nieszczęśliwie. Zatem jest to obowiązkiem wszystkich zacnych osób tych prowincyj, aby wyjeżdżające dziewczęta, gdy już na miejscu pracy nie znajdują, powiadamiały, jak sobie radzić im należy i zwracały ich uwagę na plakaty wymienione wyżej towarzystwa, skoro tylko umieszczonymi na kolejach zostaną, co może w chwili, gdy to piszemy, już nastąpiło. Przytem jest w Berlinie znaczna liczba Polaków wiążących się ze sobą moralnie i towarzysko: czyżby zatem nie było ich obowiązkiem, aby i pod tym względem działanie zbiorowe weszło w życie?

Hubertina Auclert wystosowała do rady gminnej Paryża ostrzy protest przeciw temu, że żadna z kobiet nie została zaproszoną na bankiet otwarcia ratusza paryzkiego. Kobiety płacą podatki gminne, z których był wzięty fundusz na koszt bankietu, zatem powinny być tam reprezentowane. Gmina paryzka uznała za stosowne nie odpowiedzieć, co silnie jeszcze rozgniewało tę ryceńkę praw kobiecych.

Julietta Lambert, czyli p. Adam, redaktorka *La nouvelle Revue* napisała poemat „Chansons des nouveaux époux“ i dała ją właśnie do druku, przeciw książce tej wydanej i ilustrowanej niezmiernie świetnie, wybije się tylko czterysta egzemplarzy, że zaś wszystkie płyty ilustracyjne zostaną natychmiast zniszczone, wydanie to stanie się rzadkością bibliograficzną. Gruntem tego postępcu jest próżność, — pozowanie na niezwykłość, jeżeli przeciw *Pieśni obłubieńców* będzie tak nudną jak *Galatea*, tak nierozsądną jak *Greczynka*, w której ludzie naszego wieku modlą się naseryo do Apolonia, jako *Boga narodowego*, publiczność nieprzypuszczona do czytania płodów tej muzy, republikańskiej niby, a nieschodzącej na poziom plebejuszowskiej powszechności, nie będzie miała czego żałować.

TREŚĆ. Schronienie dla nauczycielek, przez M. Ilnicką. — Na Białkim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Wyprawa do Tonkinu, (dalszy ciąg). — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Юля 1882 года.